



Ryszard Buchowiecki

Absolwent Wydziału Metalurgicznego
Politechniki Częstochowskiej. Rocznik 1962.

Nota biograficzna.

Data urodzenia : 6.02.1938 w Radomiu.

Ukończone studia wyższe: Politechnika Częstochowska, Wydział Metalurgiczny, rok 1962.

Doktorat: Politechnika Częstochowska, rok 1973

Zatrudnienie:

Politechnika Częstochowska 1962 – 1966, starszy asystent

Radomskie Zakłady Materiałów Ogniotrwałych w Radomiu, Kierownik
Laboratorium

Politechnika Częstochowska, starszy asystent 1962-1966

Radomskie Zakłady Materiałów Ogniotrwałych w Radomiu, Kierownik Laboratorium,
1966-1967

Zakłady Energetyczne Okręgu Wschodniego w Radomiu, , Główny Inż. d.s.
Badań Materiałowych, 1967-1979

Politechnika Świętokrzyska, Docent, wykładowca, 1968-1879

Ministerstwo Energetyki i Energii Atomowej, V-dyr. Departamentu, 1979 – 1980

Ministerstwo Górnictwa i Energetyki, Podsekretarz Stanu, 1980- 1986

Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej, Moskwa, Kierownik Wydziału Energetyki
I Energii Atomowej, 1987-1991

Prezes spółek prywatnych w Warszawie, m.in. Elektrim Eurogaz, Progas Eurogaz,
1991- 2003

Gas-Trading S.A, Gł.Spec. d.s. energii odnawialnej, 2004 – 2015

Od roku 2016 na emeryturze.

Publikacje

Około 50 publikacji technicznych i ekonomicznych, w tym w jęz. obcych. 12 referatów
na konferencjach i sympozjach naukowych.

Odnaczenia państwowe

Krzyż Kawalerski Odrodzenia Polski, Brązowy i Srebrny Krzyż Zasługi.

MOJE WSPOMNIENIA Z OKRESU STUDIÓW I PRACY W POLITECHNICE CZĘSTOCHOWSKIEJ

Urodziłem się w Radomiu, w niedzielę (dzień, w którym podobno rodzą się lenie), 6 lutego 1938 roku. Rodzice moi nie zaliczali się ani do dobrze wykształconych ani do bogatych. Ojciec pracował w Lasach Państwowych, matka była urzędniczką pocztową.

Okupację przeżyliśmy na granicy wegetacji. Ojciec przebywał w obozie jenieckim, matka dokonywała cudów by jakoś nas wyżywić i utrzymać.

Szczęśliwie po latach okupacji byliśmy znowu w komplecie. Ojciec po powrocie z niewoli wrócił do swojego leśnictwa, mama prowadziła dom, a ja powędrowałem do szkoły, która w 1945 roku była placówką wyjątkową.

Ucząc się raczej przeciętnie dotarłem do matury i stanąłem wobec dylematu, co studiować gdzie się na studia wybrać. Nawet przez moment nikt z rodziców ani ja sam nie pomyśleliśmy, że po ukończeniu liceum mógłbym zaprzestać dalszej nauki. 90 % moich kolegów - maturzystów planowało swoją przyszłość podobnie. Problemem, i to chyba dla większości, był wybór kierunku studiów i uczelni. Na swoim przykładzie wiem, że nie decydowała o tym żadna racjonalna przesłanka. Światłe rady ojca w tej kwestii wyglądały tak: „nie kończ studiów, po których musiałbyś pracować w leśnictwie, na poczcie albo na kolei, bo tam płacą najwięcej”.

Do dziś nie potrafiłbym odpowiedzieć na pytanie, czemu wybrałem metalurgię. Nic o tym zawodzie nie wiedziałem, w Radomiu nigdy nie było żadnej huty (poza niewielkimi odlewniami), moje zainteresowania choć płytkie i mgliste szły raczej w kierunku medycyny albo dziennikarstwa.

Zdecydowałem się jednak na wybór metalurgii, która była jednym ze sztywnych kierunków na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Ojciec uznał, że to dobre miejsce bo w Krakowie mieszkała jego starsza siostra Jadwiga z niezamężną córką Elżbietą.

O dziwo zdawać na tę uczelnię i na ten kierunek wybierała się całkiem spora grupka (7 osób) spośród moich klasowych kolegów. Przypuszczam, że dokonali wyboru na podstawie podobnych przesłanek, jak ja- czyli żadnych. W grupie natomiast było nam niewątpliwie różnie.

Jakoś nie myślałem wówczas o sobie jako o chłopaku z biednej rodziny. A przecież prawda była taka, że rodzice wciąż z trudem wiaźali koniec z końcem. Mama robiła jedzenie „z niczego”, Obszywała nas wykorzystując swoją genialną pomysłowość. Jak trzeba było być „eleganckim” zakładałem ciemny garnitur ojca, pamiętający jeszcze jego ślub, który jakimś cudem na mnie pasował. Jedyne nowe „normalne” ubranie w jakie mnie wyposażono dopiero przed wyjazdem do Krakowa było koloru zielonego, uszyte je z przydziałowego materiału jakie otrzymał ojciec jako pracownik Lasów Państwowych.

Pomimo tego życie wcale nie wydawało mi się przykre. Czułem się dorosły i wolny.

Gmach główny AGH, zarówno z zewnątrz jak i od środka, zrobił na mnie duże wrażenie swoją monumentalnością, mnogością zakamarków, labiryntem korytarzy i ogromnymi audytoriami z amfiteatralną widownią. W takich audytoriach zdawaliśmy egzaminy pisemne. Natomiast same egzaminy nie zapisały mi się w pamięci jakimś szczególnym dramatyzmem. Wyjeżdżając z Krakowa oczywiście nie znałem jeszcze ich wyniku. Dylemat „zdał- nie zdał” był w Radomiu po moim powrocie wałkowany przez młodzież, ale chyba jeszcze bardziej przez rodziców kandydatów na studentów. Stosunkowo szybko przyszła do domu z uczelni kartka, która wyjaśniła jednoznacznie, że stałem się studentem Wydziału Metalurgicznego AGH.

Pod koniec września zjawiłem się w Krakowie. Dostałem miejsce w akademiku, przydział do grupy studenckiej i zacząłem uczęszczać na zajęcia. W zasadzie od pierwszego dnia władze AGH zaczęły konsekwentnie realizować swój plan, polegający na tym, aby w ciągu pierwszego roku studiów „odsiać” połowę ze 120 osób przyjętych na pierwszy rok. Dla mnie od pierwszych zajęć największym wyzwaniem były dwa nowe i nieznane przedmioty: geometria wykreślna i wytrzymałość materiałów.

Rok 1956, w którym wyfrunąłem z domu nie był w Polsce rokiem spokojnym. Myślę, że siedząc w Radomiu, nie do końca byłem świadomy, jak wiele ważnych rzeczy działo się dookoła. A był to rok pewnej „odwilży” po śmierci Stalina, rok burzliwych wystąpień robotników i dojścia Gomułki do władzy. Stwarzało to stan ogromnego napięcia społecznego i wyzwalalo różne, nie zawsze zrozumiałe dla mnie procesy. O ile nie odczuwałem tego w Radomiu, o tyle w środowisku akademickim wpadłem w sam środek tych zawirowań.

Objawiało się to różnie. Głośno powtarzano wieści o koncentracji wojsk radzieckich na granicy wschodniej albo nawet pod samym Krakowem. Zaczepiano się na ulicy i wymieniano wzajemne uściski z niezupełnie jasnych powodów. Na uczelni w mgnieniu oka powstawały i znikwały różne organizacje o rewolucyjnych nazwach i dość mglistych celach, które próbowano wykrzykiwać na wiecach zwoływanych „ad hoc”. Były to bardzo burzliwe dyskusje ale nie zawsze byłem w stanie określić, o co się spierano. Wykłady i ćwiczenia czasami się odbywały, a czasami zastawaliśmy puste sale z kartką na drzwiach informującą gdzie odbywa się wiec. Ściany pokrywały coraz to nowe plakaty. W ciągu pierwszych dwóch tygodni października stawałem się co kilka dni członkiem nowych organizacji młodzieżowych, które po chwili gdzieś znikwały. Jeszcze od czasów szkolnych należałem do Związku Młodzieży Polskiej, ale nawet się nie obejrzałem jak tę organizację rozwiązano.

Dopiero w połowie października sytuacja społeczna i polityczna w moim studenckim otoczeniu wróciła do jakiejś takiej normy, i zaczęło się w miarę normalne studiowanie.

Tak się jakoś stało, że dość szybko utraciłem bieżący kontakt z moimi kolegami z Radomia, natomiast zaprzyjaźniłem się z współmieszkańcem z akademika, Władkiem. Wspólne losy związały nas na wiele lat i kontakt utrzymujemy do dzisiaj. Władek Jonkisz pochodził z południa Polski, z małej miejscowości nazywającej się Stara Wieś. Wieś położona była blisko Wilamowic, miejscowości znanej ze swego odrębnego folkloru, w tym oryginalnej gwary. Z Władkiem przeżyliśmy w następnych latach wiele zarówno wesołych jak i smutnych chwil.

Zaliczyłem pierwszy semestr i zdałem również końcowe egzaminy po pierwszym roku. Również podobnie potoczyły się losy Władka. Obaj zostaliśmy studentami drugiego roku.

Wakacje miałem w sporej części zepsute dzięki systemowi szkolenia wojskowego studentów w ramach obowiązkowego przedmiotu, który nazywał się Studium Wojskowe. Miesiąc wakacji po pierwszym roku studiów, w ramach tego systemu przeznaczony był na tzw. obóz wojskowy. Jako przyszli artylerzyści szkoliliśmy się w jednostce wojskowej w Węgorzewie. Wszyscy zgodnie oceniali te szkolenia jako niepotrzebną stratę czasu, miały one jednak tę dobrą stronę, że stanowiły jakąś formę aktywnego wypoczynku, w ładnej okolicy i na świeżym powietrzu.

Drugi rok studiów okazał się dla mnie mniej łaskawy. Z wielu różnych przyczyn nie udało mi się uzyskać wszystkich niezbędnych zaliczeń i znalazłem się w sytuacji, gdy trzeba było pomyśleć o jakiejś nowej drodze. Rezygnować ze studiów w ogóle nie zamierzałem.

W podobnej sytuacji znalazło się wielu moich kolegów.

Powstał dylemat, nad którym łamaliśmy sobie głowę: co dalej robić? Zarówno ja i pozostali nieszczęśnicy rozważaliśmy przez długie godziny różne warianty dalszej strategii.

W tym mniej więcej czasie dotarła do nas informacja, że w Częstochowie, dopiero co przemianowano miejscową Wyższą Szkołę Inżynierską w Politechnikę, i że na tej

uczelnia funkcjonuje Wydział Metalurgiczny, identyczny jak na AGH. Wieść głosiła również, że młoda politechnika podobno chętnie przyjmuje wyrzutków z krakowskiej Akademii, a profesury obu uczelni mówiąc ogólnie nie przepadają za sobą..

Uznaliśmy z Władkiem, że tkwi w tych informacjach jakieś ziarno nadziei i bez względu na to, czy to wszystko prawda czy nie, grzechem byłoby nie zbadać tego na miejscu. Postanowiliśmy wybrać się w tej sprawie do Częstochowy. Jak się okazało nie my jedyni. Takich jak my zebrało się około 10 nieszczęśników.

*

To wydarzenie zapisało mi się trwale w pamięci.

Był jeden z pierwszych dni października. Pociąg z Krakowa do Częstochowy włókł się sennie przez nasączony deszczem krajobraz. Pola zaoranej ziemi i kępy jakiś krzaków składały się na krajobraz emanujący melancholią. Nawet bliskość dużego przecież miasta nie zmieniała w istotny sposób tego krajobrazu. W końcu zaczęły pojawiać się jakieś ceglane zabudowania, tu i ówdzie wyrastał fabryczny komin. W końcu dojechaliśmy. Dworzec kolejowy też nie wydał mi się imponujący.

Do Politechniki prowadziła linia tramwajowa. Miała numer 1, ale nie była jedyna. W sumie było takich linii dwie, przy czym na sporym odcinku drogi tory dla obu linii były wspólne.

Podstawowy, czyli główny gmach uczelni stanowił szary, długi i niewysoki budynek dawnych koszar wojskowych. Wejście główne od normalnych drzwi koszarowych różniło się lekko zawiniętym do góry daszkiem. Wnętrze budynku pomimo widocznych wysiłków adaptacyjnych też bardziej przypominało koszary niż uczelnię wyższą. Te wszystkie szczegóły teraz nie miały dla nas żadnego znaczenia. Znaczenie miał tylko nieznaną całą czas rezultat czekającej nas rozmowy z dziekanem Wydziału Metalurgicznego.

Dziekan, Stanisław Turski okazał się człowiekiem łagodnym i dobronim. Pooglądał mój indeks z AGH, chwilę podumał i powiedział: „przyjmuję pana na trzeci semestr bez prawa do akademika i bez bonów stołówekowych. Proszę od jutra chodzić na zajęcia”.

Cała nasza grupa emigrantów z Krakowa wysłuchała podobnej formułki i po krótkiej chwili wszyscy byliśmy znowu studentami.

Reakcja domu rodzinnego na moją pisemną relację z niepowodzeń krakowskich i podjętej decyzji daleka była od entuzjazmu. Nie ulega wątpliwości, że gwałtowna zmiana sytuacji mocno ich zaskoczyła. Spodziewałem się reakcji nadzwyczajnej, ale ta była w moim odczuciu wyjątkowo zimna. To na pewno nie było wsparcie w trudnym momencie syna marnotrawnego. Szczególną przykrość sprawił mi list mamy: „Jesteś taki samodzielny – pisała – rodzice nie są ci do niczego potrzebni – no to sobie jakoś musisz sam radzić”. Odczytałem to tak: pieniędzy nie będzie, paczek nie będzie i w ogóle nie mam co na nich liczyć.

Kiedy już zaczęliśmy nauki, rzeczywiście trzeba było sobie radzić samemu.

Zaczął się najbiedniejszy okres w moim życiu. Musiałem jakoś zarabiać na czynsz i jakiegokolwiek jedzenie. Na zeszyty. No i na kupno niektórych chociaż podręczników

Nie mając przydziału do Domu Studenckiego zaczęliśmy z Władkiem Jonkiszem poszukiwania jakiejś taniej kwatery w mieście. Rozpytując tu i tam znaleźliśmy niewielki pokój, stosunkowo niedaleko od Politechniki, przy tej samej ulicy, przy której mieścił się budynek główny Uczelni. Właścicielami trzypokojowego mieszkania byli państwo G. Rodzina ich składała się z dwojga rodziców, córki i syna. Pani G. pracowała (być może jako jedyna w rodzinie) literalnie od świtu do nocy. Sądzę, że zajmowała się produkcją biustonoszy. Z kolei jej mąż gdzieś rano wychodził i wracał pod wieczór na ogół zupełnie pijany. Od progu ostro się awanturował i zazwyczaj wygrażał żonie, że już wkrótce się z nią rozprawi. Było to o tyle śmieszne, że G. był to kawał baby. podczas gdy małżonek był raczej postury nickszemnej. Przetrzymano go (chyba ze wstydu) w kuchni do czasu, aż uznano że ja i Władek już śpimy. Wtedy przez nasz pokój przeprowadzano ślaniającego się i przeklinającego pana domu. (Pokoje

były w amfiladzie a nam przeznaczono środkowy). Często było mu niedobrze więc prowadzono go na jakiś czas do toalety, po pobycie w której zazwyczaj łagodniał.

Mieliśmy u G. do dyspozycji dwa łóżka dość dziwnej konstrukcji. Były to duże drewniane skrzynie wypełnione stertą biustonoszy (stąd podejrzenie, że to odpady produkcyjne z pracy G.). Na tych biustonoszach rozścielano nam prześcieradła. Przykrywaliśmy się kocami.

W opłacie za lokum mieścił się dostęp do gorącej wody. Teoretycznie mogliśmy sobie nawet coś pitrasić na wiecznie gorącej węglowej kuchni, unikaliśmy jednak tego. Nasze wyżywienie zazwyczaj składało się z porannego talerza zupy ogórkowej (najtańszej w barze mlecznym), do którego zjadaliśmy kilka bułek. Na posiłek wieczorny kupowaliśmy sobie kawałek białego salcesonu, dzieląc sprawiedliwie pomiędzy siebie zarówno jego wnętrze jak i pęcherz, w którym był sprzedawany.

Z pieniędzmi było oczywiście krucho, ale studenci mieli szanse zarabiać jakieś grosze w ramach Spółdzielni Studenckiej (nazwanej nomen omen „Grosik”). Spółdzielnia ta wykonywała w mieście wiele usług od mycia okien i rozbiórki starych ruin, do udzielania korepetycji uczniom częstochowskich szkół. Z każdą z wymienionych tu prac miałem do czynienia, a najlepiej wychodziłem na udzielaniu korepetycji z fizyki jakiemuś młodemu chłopcu, który wraz z matką mieszkał przy Rynku Wieluńskim. Głowa rodziny za jakieś przekręty przebywała w więzieniu, ale mamusia najwyraźniej nie biedowała, ponieważ wsuwała mi zazwyczaj po lekcji „extra” jakiś banknot do kieszeni, podnosząc w ten sposób taryfę ustaloną przez „Grosik”. Od czasu do czasu nawet częstowała mnie obiadem. Inni zleceńodawcy z reguły podobnie traktowali biednych studentów dopisując im metry kwadratowe mytych okien czy sprzątanym hal produkcyjnych.

Dość szybko odkryliśmy z Władkiem dwa dodatkowe, darmowe sposoby napełniania pustych żołądków. Jeden polegał na czekaniu pod stołówką, aż panie kucharki wyniosą tzw. „beźmięśniaki”, czyli talerze z ziemniakami polanymi resztkami jakiegoś sosu. Drugi sposób dotyczył mieszkania państwa G. gdzie czasami pod nieobecność gospodarzy udawało się coś skubnąć z garnków stojących na kuchni.

W opisanych okolicznościach, pomimo braku innego wsparcia jakoś funkcjonowałem. Na samym początku naszego studiowania w Częstochowie ustaliliśmy obaj z Władkiem, że tej szansy jaką dał nam los nie zmarnujemy. Postanowiliśmy nie opuścić ani jednej godziny wykładów, ani jednej godziny ćwiczeń i laboratoriów. Przestrzegaliśmy tego postanowienia przez wszystkie lata studiów i robiliśmy to z zacięciem budzącym zdumienie wśród wielu naszych kolegów.

Taka nasza zawziętość musiała oczywiście wydać owoce. Sale były małe, frekwencja umiarkowana, staliśmy się wkrótce rozpoznawalni przez wykładowców. Zaliczyłem trzeci semestr ze sporą ilością ocen dobrych. Pomyślnie przebrnąłem również przez cały drugi rok. Po tych sukcesach dziekan przyznał mi pełne stypendium stołówkowe (śniadania, obiady, kolacje) oraz prawo do zamieszkania w Domu Akademickim. Bez żalu opuściliśmy z Władkiem gniazdko u państwa G.

Szczodrość dziekanatu tworzyła zupełnie nowe warunki do studiowania. Poczułem się lepiej i pewniej.

Właściwie dopiero teraz, jako student trzeciego roku zacząłem uważniej przyglądać się miastu, w którym żyłem. Częstochowa pod każdym względem różniła się od Krakowa. Ani nie była tak miejska, nie było tłumów młodzieży akademickiej na ulicach, nie było na każdym kroku wspaniałych zabytków. Na dobrą sprawę jedynie klasztor jasnogórski był symbolem miasta i obiektem odwiedzanym przez wycieczki i pielgrzymki. Samym miastem jako takim trudno było się zachwycać. Osią wszystkiego była Aleja Najświętszej Marii Panny, ciągnąca się przez całe centrum, aż pod wzgórze jasnogórskie. Każdy dłuższy spacer w bok prowadził na zabudowane małomiasteczkową architekturą przedmieścia albo wręcz na pola, na których można było spotkać pasące się krowy. Również budynki politechniki miały takie otoczenie.

Z perspektywy dnia dzisiejszego myślę, że w ówczesnych warunkach politycznych władze kraju widziały Politechnikę Częstochowską jako przeciwwagę dla klerykalnej i trącej myszką atmosfery miasta. Być może na takich przesłankach bazowała opinia, że młoda uczelnia akademicka zasługuje na określenie „Czerwona Politechnika”. Studiując w tym środowisku rzeczywiście dało się łatwo zauważyć wysoką aktywność młodzieży i organizacji, zrzeszających młodzież. Zauważalne było też na co dzień oddziaływanie na całe środowisko organizacji partyjnej i związków zawodowych. Tętniły życiem kluby studenckie, zespoły zarówno artystyczne jak i sportowe. Kiedy dziś telewizja zasypuje nas reklamami sklepów „Żabka” w rodzaju „mały, ale wielki sklep” mimo woli myślę, że wtedy taka była nasza Politechnika : mała, ale wielka.



Studiując, nadal budowaliśmy naszą Politechnikę. Prace społeczne na polu otaczającym pierwszy nowy budynek Uczelni – Pawilon Budowy Maszyn.

Ta atmosfera inspirowała. Odczułem to na własnej skórze i już po trzecim semestrze działałem razem w Zrzeszeniu Studentów Polskich i w Związku Młodzieży Socjalistycznej. Młodzieżowym przywódcą politycznym w naszym środowisku był w tym czasie Władysław Jurczak. Pełnił funkcję sekretarza komitetu uczelnianego ZMS. Postać żywcem wzięta z książek typu „Jak hartowała się stal” o bohaterkich komsomolcach. Był studentem, ale imponował nam pewnością siebie i twardości wypowiedzianych opinii nawet w kwestiach, które nie musiały być miłe dla władz Uczelni.

Jurczak był tym, który namówił mnie i Władka Jonkisz do aktywnego działania w tej organizacji. Władek zrobił to szybciej i bardziej zdecydowanie niż ja, ale i moja pozycja pomału rosła, kiedy zauważono moją predyspozycję do wygłaszania płomiennych przemówień na dowolny temat.

Kiedy Jurczak skończył studia i odszedł, zastąpił go na stanowisku sekretarza KU Władek Jonkisz. Wówczas i ja dość szybko znalazłem się w składzie Komitetu Uczelnianego. Jeśli dobrze pamiętam byłem facetem od propagandy. Doceniono tu chyba moje predyspozycje do gadania na każdy temat.

Po jakimś czasie zacząłem być delikatnie indagowany przez osoby z otoczenia na temat ewentualnego wstąpienia do PZPR. Po namyśle uznałem, że być może powinienem tak postąpić z rozsądku. W końcu rodzice też byli członkami partii. Ostatecznie zrobiłem ten krok będąc już studentem roku trzeciego. Wystąpiłem o przyjęcie w „poczet” (tak to się wówczas nazywało) kandydatów. Potrzebne były dwie rekomendacje. Jedną „z automatu” dała mi instytucja namawiająca do tego kroku- Komitet Uczelniany ZMS, drugą nieoczekiwanie dał mi z własnej inicjatywy asystent prowadzący z nami zajęcia z ekonomii politycznej, Zbigniew Mrowiński. Sympatyczna znajomość i przyjaźń z nim i z jego (przyszłą) żoną Ewą trwała

latami. Zbyszek zmarł w roku 2012 w wieku 83 lat. Z Ewą, ja i moja żona utrzymujemy kontakt do dzisiaj.

*

W tych czasach gołym okiem dało się dostrzegać, że osoby pełniące kierownicze funkcje w partii oraz w organizacjach młodzieżowych i studenckich, są na uczelni osobami mającymi łatwiejszy niż inne osoby dostęp do rektora i dziekanów, a tym wpływać na bieg różnych spraw na Uczelni. Osoby te stawały się automatycznie rozpoznawalne, a ich autorytet był całkiem spory. Nie oceniam tego zjawiska negatywnie. Musimy wziąć pod uwagę fakt, że były to zupełnie inne czasy. Politechnika nie dysponowała nadmiarem wysoko wykwalifikowanej kadry naukowo dydaktycznej. W tej sytuacji różne, wzajemnie kontrolujące się siły wielokrotnie chroniły przed popełnianiem różnych błędów,

Dla mnie osobiście uczestniczenie, nawet umiarkowanie aktywne w życiu organizacji partyjnej otwierało możliwości bliższego poznania wielu pracowników Politechniki, od których na co dzień oddzielał nas dystans student – wykładowca.

Wykładowcą metalurgii na Politechnice i niejako naszym „guru” był starej daty profesor Władysław Kuczewski. Studia kończył przed laty w Petersburgu, po wojnie miał bardzo wysokie notowania partyjne, i to nie tylko na uczelni, ale w samym Komitecie Wojewódzkim PZPR w Katowicach.

Był człowiekiem niesłychanie pryncypialnym i głęboko przekonanym do swoich idei. Wszystkie problemy, zarówno związane z nauczaniem przedmiotem jak i organizacyjne, z którymi się do niego zwracali studenci i asystenci traktował niezwykle poważnie i starał się je jak najlepiej załatwiać.

Przytoczę tu pewną historię, która wydarzyła się gdy byłem na trzecim roku studiów.

Pojechaliśmy kiedyś całą grupą pod wodzą Prof. Kuczewskiego na jakieś zajęcia do Instytutu Metalurgii w Gliwicach. Po zajęciach profesor się od nas odłączył nakazując nam wracać koleją do Częstochowy. Wracając wypiliśmy trochę piwa i być może żartując i

podśmiewając się zachowywaliśmy się trochę głośniej niż należało. Na dworcu w Gliwicach zwrócił na to uwagę patrol milicji i spisano nasze dane. Uznaliśmy to za mało istotny incydent. Po kilkunastu dniach na ręce rektora przyszło jednak pismo wymieniające nasze nazwiska i informujące o niewłaściwym zachowaniu. Rektor drogą służbową pismo przesłał do prof. Kuczewskiego. Kuczewski zareagował tak, że partyjnym kanałem złożył skargę na gliwickich milicjantów. Wychodziło na to, że poddał w wątpliwość, czy to oni byli trzeźwi obwiniając bogu ducha winnych studentów o złe zachowanie. Gdzieś tam musiała rozpętać się niezła burza, bo cała sprawa skończyła się tym, że milicja...

przeprosiła częstochowskich studentów. Koronnym faktem, który Kuczewski przytaczał jako oczywiste zaprzeczenie policyjnym insynuacjom było to, że w grupie studentów byli członkowie partii.

Zaliczając semestr po semestrze i przechodząc bez problemów na trzeci rok, pomału zmieniłem relacje z rodzicami. Rodzice, zauważywszy, że syn nie sprawia im kłopotów i uczy się nie najgorzej, znieśli embargo zarówno na paczki szykowane przez mamę jak i na przesyłane regularnie drobne kwoty pieniędzy. Sytuacja uległa zatem całkowitej normalizacji.



Część studentów z naszej sekcji metalurgicznej. Od lewej: Andrzej Kopczyński, Grażyna Ogorzały, Józef Wypych, Staszek Wątroba.

Na trzecim roku studiów nawiązałem kontakty z popularnym tygodnikiem studentów uczelni technicznych „Politechnik”. Redakcja tego czasopisma mieściła się w budynku Politechniki Warszawskiej, a funkcję redaktora naczelnego sprawował niedawny absolwent tej uczelni, Witold Błachowicz. Napisałem do „Politechnika” kilka artykułów, poszły do druku i zaproszono mnie na rozmowę do redakcji. Poznałem redaktora Błachowicza, a przy okazji kilka innych osób odpowiadających w redakcji za różne funkcje pisma. Rozmowa zakończyła się propozycją, by utworzyć w Częstochowie terenową redakcję czasopisma i bym objął w niej funkcję szefa.

Zgodziłem się i sprawa została bardzo szybko załatwiona od strony formalnej. W „Politechniku” zaczęły się często pojawiać materiały z częstochowskiej uczelni, a w stopce redakcyjnej pisma, w spisie redakcji terenowych obok Gdańska, Gliwic, Łodzi, Poznania i Szczecina pojawiła się od tego czasu Częstochowa, ze mną jako kierownikiem.

Kierowałem redakcją częstochowską przez kilka lat, nawet po ukończeniu studiów i podjęciu pracy na macierzystej politechnice. Po kilku latach tej działalności Przewodniczący Zarządu Głównego ZSP, Stanisław Ciosek, wręczył mi dyplom za publikacje ważne dla środowiska studenckiego w Polsce. Byłem jednym z dziesięciu uhonorowanych tak dziennikarzy studenckich.

Poza tym „akademickim” dziennikarstwem, zacząłem się udzielać w studenckim radiowęźle, które nosiło nazwę „Radio Pryzmaty”. Kierował radiowęźłem Miron Pietras i była to jego pasja, miłość i fascynacja. Wszystkie akademiki były zrادیofonizowane i po jakimś czasie działań Mirona, komunikaty o tym, że ktoś zgubił bon stołówkowy zeszyły na daleki plan. Pojawiły się natomiast przygotowane audycje, poświęcone autentycznym problemom studenckim, ale również wywiady, felietony, dobra muzyka itp.

Ja do redakcji radiowęzła przyszedłem z pomysłem, który zrodził się w sensie dosłownym z makulatury. Wpadły mi mianowicie w ręce roczniki starych, częstochowskich czasopism z przedwojennych lat 20-tych i 30-tych. Było w tych starociach wiele ciekawych rzeczy. Postanowiłem robić dla radiowęzła cykliczne felietony pod tytułem „Czas znaleziony na strychu”. Były to opowiadania o tych zdarzeniach, o których w dawnej Częstochowie pisano. Wybierałem oczywiście historie ciekawe, intrygujące lub śmieszne, okraszałem to cytowaniem zabawnych reklam.

Audycja była słuchana i komentowana, z czego, nie ukrywam, byłem bardzo dumny.

Radiowęzeł był zorganizowany przez Mirona Pietrasa na wzór prawdziwego radia a i jego strona techniczna była bez zarzutu. Mieścił się na parterze Domu Studenckiego,

w trzech pokojach. Dysponował amplifikatornią imponującą migającymi lampkami, studiem, w którym siadało się za szklanym oknem przed mikrofonem, oraz pokojem redakcyjnym.



Ważne osoby Politechniki Częstochowskiej w moich czasach studenckich.

Fotografia z lewej. Od prawej: Rektor W.Sakwa, W. Jurczak, B.Zajac.

Fotografia z prawej. Od prawej: Prof. Z.Wernicki, Prof. A.Pietraniec, Prof.A.Czarnota

Studenckie wakacje to nie były prawdziwe, beztrudne wakacje. Miesiąc obowiązkowo spędzało się na ćwiczeniach wojskowych albo na praktyce produkcyjnej.

Wojsko usiłowało nas wyszkolić na czołgistów. Ćwiczenia wojskowe odbywaliśmy w Wyższej Szkole Wojsk Pancernych w Poznaniu. Były one na jakim takim poziomie. Mogliśmy zobaczyć prawdziwe czołgi a nawet uczyliśmy się je prowadzić i z nich strzelać. Były to czołgi T-54, przy moim wzroście dość kłopotliwe przy wsiadaniu i wysiadaniu. W takich zajęciach było trochę zabawy, ale były zabawy dla prawdziwych mężczyzn. No i było przy nich trochę ruchu, którego na studiach brakowało.

Wypuszczano nas w czasie wolnym, umundurowanych w workowate zielone ubranka „na miasto”. Poznaniacy się z nas życzliwie podśmiewali ale miałem okazję trochę poznać to ładne miasto i popróbować piwa, które na tych wycieczkach z reguły pijaliśmy.

Na koniec szkolenia awansowano mnie do stopnia plutonowego podchorążego. Nie bez satysfakcji przypiąłem sobie trzy belki do pagonów.

Jak w wakacje nie było wojska, to była praktyka. Po trzecim roku studiów odbyłem taką praktykę w hucie im. Marcelego Nowotki w Ostrowcu Świętokrzyskim. Plusem tej lokalizacji było to, że blisko było do Radomia i do domu więc soboty i niedziele spędzałem w Radomiu. Minusem natomiast był fakt, że huta była stara, nienowoczesna i w sumie mało ciekawa. Miała przedpotopowe obiekty, w tym niewielką stalownię martenowską. Nowoczesna walcownia dopiero miała powstać w Ostrowcu za kilka lat, w miejscu odległym od huty.

Ta praktyka nie służyła uzupełnieniu wiedzy fachowej. Miała tę dobrą stronę, że specjalnie nas, praktykantów do roboty nie goniono, a nasi opiekunowie wydawali się najszczęśliwsi gdy znikaliśmy im z oczu. Była to więc klasyczna strata czasu.

Prawdziwa gratka trafiła mi się po ukończeniu trzeciego roku studiów. Zaproponowano mi mianowicie w okresie wakacji odbycie dwumiesięcznej praktyki w hucie w Austrii. Nagle dostałem propozycję wyjazdu do kapitalistycznego kraju, na Zachód, o którym mówiono zazwyczaj „zgniły”

Szykowała mi się zatem duża przygoda. Wszystko, z czym się miałem zetknąć było nieznane i tajemnicze. I ważne dla poznawania świata, o którym tak mało wiedzieliśmy.

Nadszedł w końcu ten moment i pewnego popołudnia ojciec odprowadził mnie na Dworzec Główny w Warszawie i wsadził do pociągu o nazwie „Chopin”, który miał mnie dowieźć do stacji Wien-Ostbahnhof. Tak się też stało.

Z Wiednia po południu pojechałem dalej. Celem mojej podróży była leżąca przy granicy z Włochami Styria i niewielkie miasto Bruck, położone nad rzeką Mur. Na peryferiach miasta Bruck, w miejscowości Kapfenberg znajdowała się fabryka o nazwie „Felten & Guillaume A.G.”, firma należąca do wielkiego koncernu elektromaszynowego Siemens. To miało być przez najbliższe dwa miesiące miejsce mojej praktyki.

Czekający na mnie przedstawiciel fabryki, a zarazem opiekun praktyk, szczupły, starszy pan, starał się, aby mi przekazać wszystkie niezbędne informacje dotyczące dalszego mojego losu. Niestety szybko spostrzegłem, że język niemiecki, którego się nauczyłem i który pomyślnie zaliczałem na trzecim i czwartym roku studiów, nie umożliwi mi swobodnej rozmowy, tym bardziej, że Austriacy w Styrii mówią swoistym dialektem. Zrozumiałem pomimo tych trudności, że mam do wyboru dwie propozycje: pracować w laboratorium jako laborant (tak było na skierowaniu) albo pójść do prawdziwej produkcji, na walcownię drutu i pracować na zmiany jako zwykły robot. Różnica w moim wynagrodzeniu na obu stanowiskach była kilkakrotna. Mój opiekun wyraźnie optował za walcownią podkreślając jednocześnie kilkakrotnie, że „tam jest normalna produkcja, nie zabawa”. No i muszę złożyć oświadczenie, że robię to na własną prośbę.

Wybrałem jak łatwo się domyśleć wariant „robotniczy”. Napisałem też za radą mojego opiekuna podanie o tzw. „vorlohn”, czyli zaliczkę na wynagrodzenie. Dali mi ją praktycznie od ręki. Nazajutrz oprowadzono mnie po całym zakładzie. Nie imponował wielkością i na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie dość przestarzałego. Mówiąc szczerze, polskie huty, które znałem robiły lepsze wrażenie.

Reszta problemów została załatwiona szybko i sprawnie. Zakwaterowano mnie w pokoju, który mieścił się na pięterku miejscowej gospody. Miałem tam mieszkać z dwoma innymi praktykantami, którzy przyjechali wcześniej. Byli to Egipcjanin i Grek. Co do wyżywienia, to mam się żywić we własnym zakresie, gdzie chcę i jak chcę.

Wynagrodzenie obiecali płacić raz w tygodniu, w piątek. Uprzedzono mnie lojalnie, że kierownik walcowni może mnie wyznaczać dodatkowo do pracy w soboty lub niedziele lub na inne zmiany, jeżeli zakład ma akurat jakieś ekstra zamówienia. Jest to wtedy podwójnie płatne. Od następnego dnia miałem ruszać do pracy.

Walcownia, na której przyszło mi pracować składała się długiego rzędu klatek walcowniczych o coraz mniejszych przepustach. Po obu stronach tej linii stali robotnicy, których zadaniem było przyjąć rozżarzony do czerwoności wlewki i kierować go do kolejnych walcarek. Wlewki zmienił się stopniowo w coraz cieńszy pręt, który wił się po blaszanej podłodze jak ognisty wąż. Kolejnym etapem było przeciąganie go przez oczka o malejącej średnicy a w końcu zwijanie w duże kręgi.

Gdy już zacząłem pracować i chodzić na różne zmiany, poznałem jeszcze inne miejscowe zasady i zwyczaje. Przychodzić należało odpowiednio wcześniej, tak by zdążyć się przebrać w robocze łachy i stać już na stanowisku gdy zawyła syrena. Opuszczanie pracy też miało swój rytuał. Po umyciu się i przebraniu, wszyscy ustawiali się przy szlabanie bramy głównej i spokojnie czekali na głos syreny. Gdy zawyła, cała ta ludzka masa jednocześnie ruszała do przodu.

To co mnie uderzyło na początku, to to, że zakład w ogóle nie był pilnowany i wejść na jego teren można było bez przeszkód. Zdarzało mi się widzieć chodzących po terenie fabryki obcych ludzi a nawet bawiące się dzieci. W porównaniu do Polski, gdzie każda większa fabryka przypominała twierdzę była to szokująca różnica.

Ponieważ praca była w bardzo ciężkich warunkach na każdej zmianie pracowały dwie brygady, po 6 pracowników w każdej. Brygady wymieniały się na stanowiskach pracy co pół godziny. W czasie półgodzinnego odpoczynku, jedzono, pito, czytano porozkładane na stołach kolorowe czasopisma ze zdjęciami nagich dziewczyn. Oczywiście chętnie i dużo rozmawiano. Niespotykaną w polskich hutach „atrakcją” było to, że w Kapfenbergu, do dyspozycji pracujących w ciężkich warunkach robotników stały całe skrzynki piwa Gasser Bier, którego spożywanie było darmowe i nie było kontrolowane przez nikogo.

Jako cudzoziemiec budziłem zrozumiałe zainteresowanie kolegów, i usiłowano mnie wciągać w różne dyskusje, głównie pytając o szczegóły życia w Polsce. Wprawdzie nie wszyscy wiedzieli, gdzie ta Polska jest, a niektórzy myśleli nawet, że to jedna z republik Związku Radzieckiego. Szybko doszedłem do wniosku, że poziom wiedzy ogólnej moich austriackich kolegów odbiegał od tego co sobą reprezentował przeciętny polski robotnik. Po jakimś czasie, z kilkoma pracownikami, z którymi wspólnie dzieliłem trud walcowania drutu zawarłem bliższe znajomości. Jednym z nich był uciekinier z Jugosławii, przebywający tu już ładnych kilka lat i jako tako urządzony. Zaprosił mnie kiedyś do swojego mieszkania, które było spore, nowoczesne i ładnie umeblowane. Z kolei od pracującego ze mną na jednej zmianie Austriaka otrzymałem zaproszenie na wesele jego córki, które odbywało się w miejscowej gospodzie przy sporej ilości piwa, słonych paluszkach i muzyce z szafy grającej.



W czasie praktyki w Austrii. Stoję (w kapeluszu) a obok mnie mój jugosławiński kolega.

Mieszkający ze mną współlokatorzy, Egipcjanin i Grek okazali się bardzo sympatycznymi kolegami. Nie poszli za moim przykładem i wybrali „czystą” pracę w laboratorium, co w praktyce oznaczało, że wylegiwali się w łózkach albo chodzili na spacer. Kiedy wracałem z nocnej zmiany i waliłem się spać ledwo żywy, przyglądali mi się z wyraźnym politowaniem.

Po dwóch miesiącach austriacka przygoda się zakończyła. Zobaczyłem kawałek pięknego, niezniszczonego wojną kraju. Poznałem trochę jego cech społecznych i politycznych. Zobaczyłem na własne oczy państwo, ukształtowane według odmiennych zasad od tych, które panowały w tym czasie w Polsce.

Przy tym wszystkim solidnie fizycznie popracowałem, jak jeszcze nigdy wcześniej nie przytrafiło mi się w kraju. No i zobaczyłem przy okazji ile można zarabiać na godzinę wysługując się obcemu kapitałowi.

Jesienią 1961 roku rozpocząłem piąty rok studiów. Semestr IX był jeszcze dość podobny do poprzednich semestrów. Słuchaliśmy wykładów i zaliczaliśmy ćwiczenia z przedmiotów, które ściśle wiązały się z wybraną specjalizacją: metalurgią surówki i stali. Było to więc stalownictwo, odlewanie wlewków, elektrometalurgia, metalurgia żelazostopów itp. Nauka

tych przedmiotów przychodziła mi łatwo a semestr zakończyłem prawie samymi ocenami bardzo dobrymi.

Kolejny semestr był już zupełnie inny. Rozdano nam tematy prac magisterskich, za każdym z nich stał określony promotor. Poza tym w semestrze dziesiątym odbywałem 6-cio tygodniową praktykę w Hucie im. B. Bieruta w Częstochowie. Jako stypendysta huty patrzyłem na nią jako na przyszłe miejsce swojej pracy. Nie budziło to mojego entuzjazmu, ale z taką koniecznością musiałem się liczyć.

Ten okres podzielił naszą sekcję na dwie podgrupy; stalowników i wielkopieczowników. Ja wybrałem metalurgię stali, promotorem moim został prof. Kuczewski a tematem pracy było porównanie pracy pieców martenowskich opalanych różnymi paliwami gazowymi. Praca na szczęście wiązała się z praktyką na stalowni i możliwością korzystania z danych produkcyjnych, pomiarów i analiz laboratoryjnych wykonywanych rutynowo w hucie. Szybko doszedłem do wprawy w korzystaniu z tej bliskości prawdziwej produkcji i kontaktu z kierownictwem stalowni, co dało możliwość wpływania na to, by praca dała ostatecznie wyniki jakich promotor się spodziewał.



*Prof. Ziółkowski w otoczeniu studentów metalurgii.
Od lewej siedzą: Wanda Jagiełło, Grażyna Ogorzały.
Stoją: Andrzej Kopczyński, Józef Wypych, Ryszard
Buchowiecki, Stanisław Wątroba, Zdzisław Borzuchowski.*

Moje spostrzeżenia dotyczące badań wykonywanych w czasie bieżącej produkcji w hucie prowadziły do istotnej refleksji. Trzeba brać pod uwagę szereg ubocznych czynników mogących mieć wpływ na wyniki badań, a korekta tych wyników nie zawsze jest łatwa. Np. czas wytopu stali nie zawsze zależy od przebiegu procesu a często od tego, czy podwieszona na suwnicy kadź, do której powinno się zlać płynną stal po zakończeniu procesu nie ugrzęzła gdzieś w końcu hali, przyblokowana inną suwnicą. Albo nie można znaleźć suwnicowego, bo pobiegł do kiosku spożywczego podniecony informacją o dostawie wędlin. Jeśli dodać do tego kiepsko działające na stalowni przyrządy pomiarowe, to staje się jasne, że zrobienie dobrych badań w warunkach gorączki produkcyjnej jest trudne i wymaga specjalnej organizacji, na co nikt nie chciał pozwolić. Kraj bardziej potrzebował stali, niż moich badań.

Ostatecznie napisałem własnoręcznie pracę dyplomową, oprawiłem ją w zielone okładki, dołączyłem stosowne podziękowania i złożyłem w dziekanacie.

Profesor Kuczewski był z wyników pracy zadowolony i ostatecznie dostałem za nią ocenę bardzo dobrą. Uznał nawet, że praca nadaje się na publikację naukową i być może by się nią stała gdyby nie fakt, że profesor wkrótce zmarł.

Egzamin dyplomowy okazał się czystą formalnością. Zdałem go na piątkę. Rada Wydziału Metalurgicznego jak łatwo się domyśleć, jednogłośnie nadała mi tytuł magistra

inżyniera metalurga. Niespodziewanie okazało się, że suma moich ocen z semestru i pracy dyplomowej daje bardzo dobry wynik. Być może to było powodem, iż zaraz po pomyślnie zdanym egzaminie formalnie zaproponowano mi pozostanie na Politechnice i podjęcie tu pracy na stanowisku asystenta w Katedrze Metalurgii. Taki krok wiązał się z dwiema istotnymi konsekwencjami: wyjątkowo kiepskimi zarobkami i zwolnieniem z konieczności odrabiania w hucie pobieranego stypendium.

Ta druga okoliczność przeważała. Znając z autopsji warunki pracy w hucie wolałem pracę ze studentami w kiepsko wyposażonej katedrze. Wierzyłem wtedy, że rozpocznę w ten sposób karierę naukową, co wydawało mi się spokojną i elegancką perspektywą.



Odbieram z rąk Dziekana Wydziału, doc. Karbownickiego dyplom ukończenia studiów na Politechnice Częstochowskiej.

Razem ze mną zaangażowano w charakterze asystenta w Katedrze Metalurgii koleżankę z sekcji, która ukończyła studia w tym samym co ja terminie, Wandę Jagiełło. Jako „nowi młodzi” trzymaliśmy się razem i wspólnie usiłowaliśmy kształtować swoją przyszłość.

Wyposażenie naszej placówki w narzędzia do prowadzenia badań oraz zajęć ze studentami było kiepskie. Kilka różnych pieców do topienia metali, trochę plansz pokazujących procesy metalurgiczne, a poza tym zwykłe szafy, stoły i biurka.

Zbiegiem okoliczności w tym samym czasie, w 1962 roku przybył do Częstochowy i na Politechnikę człowiek, o którym w ciągu kilku dosłownie dni zrobiło się głośno. Mowa tu o przybyszu ze Stanów Zjednoczonych, Profesorze Stanisławie Teodorze Jaźwińskim.

Mający w chwili przyjazdu 55 lat profesor był przedwojennym absolwentem Politechniki Warszawskiej. W czasie wojny znalazł się w Anglii, potem pracował w Brazylii a następnie w USA. Wszystkie stanowiska jakie zajmował były związane z procesami metalurgicznymi, najczęściej z badaniami naukowymi prowadzonymi w tym obszarze. Doktorat uzyskał na AGH w trakcie pracy w Stanach.

Mówiło się, że Rektor Politechniki Częstochowskiej, Wacław Sakwa spotkał Jaźwińskiego na jakiejś konferencji naukowej i namówił go na przeniesienie się do Polski, aby zorganizował on na Politechnice Częstochowskiej unikalny w tych czasach w Polsce, ale modny na świecie kierunek naukowy - inżynierię materiałową. Nie wiem do końca, co siedziało w głowach profesora i poślubionej przez niego w USA małżonki, dość że profesor propozycję przyjął i zjechał pewnego dnia do Częstochowy z samochodami, pralkami, kolorowymi telewizorami itp. Cały ten sprzęt elektrotechniczny zainstalowano w wielkim mieszkaniu w centrum Częstochowy. Potem różni specjaliści dokonywali skomplikowanych przeróbek tego

sprzętu, bo oczywiście początkowo nic nie chciało działać ze względu na różnice w parametrach prądu elektrycznego u nas i w USA.

Profesor w momencie przyjazdu otrzymał – co zapewne mu wcześniej obiecano - tytuł profesora nadzwyczajnego i objął stanowisko kierownika Katedry Metalurgii Żelaza i Stali. Mnie i Wandę, którzyśmy się tam prawie równocześnie z nim znaleźli, od pierwszego momentu uznał za personel budzący nadzieję na przyszłość, kazał nam myśleć o doktoratach i chodzić na swoje wykłady.

Rzeczywiście po pewnym czasie zaproponował nam tematy prac doktorskich i wyraził gotowość bycia ich promotorem. Rada Wydziału tematy zatwierdziła i formalnie wkroczyłem w ten sposób na ścieżkę nauki. W rzeczywistości na razie nic się nie działo.

Moja sytuacja bytowa przedstawiała się w tym czasie tak, że nadal mieszkalem w Domu Studenta, ale już nie za darmo. Mogłem też odpłatnie korzystać z wyżywienia w stołówce akademickiej. Dostawałem jako asystent 1500 zł. Wraz z dodatkiem rektorskim wynosiło to 2100 zł. Dało się żyć ale było biednie.

Profesor Jaźwiński jakimś sposobem załatwił kilka zleceń badawczych, które Katedra Metalurgii mogła realizować w ramach systemu, który nosił nazwę „gospodarstw pomocniczych”. Pamiętam, że prowadziliśmy badania nad odzyskiwaniem żelaza i tytanu z odkrytych w województwie białostockim rud zawierających te pierwiastki. Badaliśmy również na zlecenie Bydgoskiej Fabryki Aparatury Chemicznej przyczyny pękania wytwarzanych przez tę fabrykę metodą kształtowania wybuchowego dennic. Te zlecenia pomagały w uzupełnianiu skromnego uczelnianego uposażenia.

*

Kiedy oswobodziłem trochę głowę od bieżących problemów zacząłem przemyśliwać nad tym, że czas byłoby pomyśleć o jakiejś kobiecie, małżeństwie, normalnym domu itp. Szukając rozwiązania tego problemu coraz częściej wędrowałem w myślach do rodzinnego Radomia, i do Sylwii, dziewczyny, którą znałem od lat, z którą przeżyłem już kilka okresów zbliżeń i oddaleń. Widywałem ją sporadycznie i nie sposób było nie zauważyć, że wyrosła na urodziwą i pociągającą młodą kobietę.

Nie wiedząc jakie są moje aktualne szanse postanowiłem sprawę zbadać i uznałem, że najlepszym sposobem będzie rozmowa z jej matką.

Rozmowa taka się odbyła. Zapewne matka Sylwii szybko odgadła moje intencje ale ich nie odrzuciła. To zdecydowało o tym, że i moje relacje z Sylwią szybko wróciły do dawnego poziomu sprzed wielu miesięcy. Zaczęliśmy delikatnie poruszać temat wspólnej przyszłości. Nasi rodzice znali się dobrze, zaakceptowali nasze zamiary i bez większych

ceregieli ustaliliśmy datę ślubu na luty 1963 roku. Na razie musieliśmy się kochać na odległość. Moja przyszła zona uczyła się w pomaturalnym technikum medycznym w Warszawie, ja wróciłem do Częstochowy.

Zaplanowany ślub odbył się w Radomiu w ustalonym terminie. Bratowa Sylwii i Władek Jonkisz byli naszymi świadkami. Oboje pochodziliśmy z biednych rodzin więc wesele, a właściwie trochę lepszy obiad zorganizowano w mieszkaniu rodziców Sylwii. Oprócz kilku osób z naszych rodzin byli z nami koledzy z Częstochowy, Władek Jonkisz i Tadeusz Czarnecki. Było wesoło i bawiliśmy się do rana. A po ślubie znowu rozjechaliśmy się w różne strony. Az do momentu ukończenia przez Sylwią szkoły widywaliśmy się z moją żoną sporadycznie. Było to zatem w tym okresie naszego życia trochę dziwne małżeństwo.

*

Powoli przyzwyczajałem się do zmian, jakie zachodziły w moim życiu gdy na znanej mi przecież dobrze Politechnice znalazłem się niejako „po drugiej stronie lustra”. Mówiono mi „panie magistrze”, rozmowy braci studenckiej milkły gdy przechodziłem obok, nabyłem

wreszcie prawo otwierania drzwi, za którymi był niedostępny dla studentów świat. To drzwi do pomieszczenia zwanego „Klubem Profesora”.

Jako studenci przechodziliśmy obok drzwi do tego klubu wiele razy w ciągu dnia, przekraczać ich jednak nie mieliśmy prawa. Klub mieścił się w starej, „koszarowej” części budynku Politechniki, zlokalizowanym przy ul. Deglera.

I oto pewnego dnia mogłem te drzwi otworzyć i znaleźć się w niedostępnym dotąd środku.

Wystrój wewnętrzny sali klubowej był prosty ale sympatyczny. Atmosfera panowała przyjazna, bo byli tu wyłącznie „swoi”. Szukając wolnego stolika pozdrawiało się wszystkich i było się pozdrawianym.

Za drzwiami klubu przesiadywali pracownicy Politechniki, popijając kawę, zjadając kanapki, i swobodnie plotkując. Dopiero bywając tu widziało się, jak wiele ważnych decyzji zapadało właśnie tutaj.

W klubie królowała postać niemal legendarna, ogólnie szanowana. Była to kierowniczką klubu, starsza już pani Muszyńska. Lubiła swoich gości, wielu znała od lat i nierzadko proponowała jakiś smakołyk spod lady. Na niewielkiej ladzie, za którą zajmowała zwykle miejsce, stał błyszczący samowar, zawsze gotów napoić klubowych gości.

Bywając w klubie dość często w krótkim czasie poznałem wielu młodszych i starszych stażem pracowników a miłym odkryciem było to, że ci co mnie niejednokrotnie gnębili jako studenta, okazywali się mili i sympatyczni.

Już po niedługim czasie zżyłem się ze sporą grupą pracowników, na ogół niewiele starszych ode mnie. Byli bardziej niż ja ustabilizowani, mieli rodziny i znali kulisy różnych uczelnianych spraw. Siłą rzeczy poznałem ich żony i dzieci, bywałem w ich domach i czułem się dobrze w ich towarzystwie.

Najszybciej takie przyjaźnie zawarłem z młodymi pracownikami Katedry Termodynamiki Romkiem Wolańskim i Władkiem Gajewskim oraz z ich bardzo sympatycznymi żonami. W kręgu przyjaciół byli również Cislowie, Józef i jego małżonka Wiesia, był Zbyszek Mrowiński z żoną Ewą i samotny wówczas jeszcze Janek Miller. Równie często na gruncie prywatnym spotykałem się z pracującym w tej samej, co ja Katedrze Metalurgii, Tadkiem Czarneckim. Nie wspominam o wciąż trwałych więzach z Władkiem Jonkiszem, z którym mieszkaliśmy razem aż do momentu, gdy do Częstochowy zjechała na stałe moja żona Sylwia.



W koleżeńskim gronie. Od lewej (ledwo widoczny) R. Wolański, Z. Nawrot, .T. Czarnecki, R. Buchowiecki, W. Jonkisz.

Moje kontakty z małżonką, po ślubie z konieczności głównie korespondencyjne, trochę już mi doskwierały. Na szczęście Sylwia w 1963 roku zakończyła naukę w szkole medycznej, trzeba było pomyśleć o wspólnym zamieszkaniu i pracy dla małżonki.

Najłatwiej było o pracę. W owych czasach pojęcie bezrobocia było w naszym kraju nieznanne. Przeciwnie, wszędzie szukano ludzi do pracy. Żona została przyjęta do Przychodni Zdrowia, znajdującej się w centrum miasta.

Mieszkanie było sprawą stokroć bardziej skomplikowaną. Dla tzw. kadry Politechnika wybudowała wprawdzie kilka lat temu budynek mieszkalny zwany Domem Profesora, usytuowany przy Alei Zawadzkiego. Były tam 24 mieszkania różnej wielkości, ale wszystkie zajęte przez pracowników o dłuższym stażu niż ja.

Pozostawał wariant pokoju w Domu Akademickim, na tzw. piętrze asystenckim. Pokoje były małe, miały niewielką umywalkę. Normalna łazienka z prysznicami i ubikacjami była jedna na całe piętro, i wchodziło się do niej z korytarza. Siłą rzeczy był to obiekt koedukacyjny.

Przyjąłem z konieczności ten wariant. Małżonka wzięła sprawę w swoje ręce i w ciągu kilku dni wyczarowała z dość ponurego wnętrza sympatyczne i kolorowe mieszkanie z częścią sypialną, jadalną i kuchenną. Żelazne akademickie łóżko przy pomocy kilku cegieł zostało sprytnie zamienione na tapczanik.

Sylwia została bardzo szybko i bardzo sympatycznie przyjęta i zaakceptowana przez wszystkich moich najlepszych znajomych. Odtąd uczestniczyliśmy razem w wielu towarzyskich spotkaniach organizowanych spontanicznie, gdy tylko nadarzała się jakaś okazja. Był to okres naszego życia niebogatego ale w miarę beztroskiego i wesołego. Żyliśmy według prostego schematu: rano oboje wychodziliśmy do swoich zajęć, po powrocie jedliśmy obiad w stołówce akademickiej. Kolacje i śniadania pichciła Sylwia. Wieczory- to bardzo często spotkania towarzyskie z przyjaciółmi.



Moja żona w drzwiach domu studenckiego, w którym mieszkaliśmy.

Po roku pracy na Politechnice awansowałem z asystenta na starszego asystenta ale nie oznaczało to wiele ani w splendorze ani w wynagrodzeniu. Oboje z Sylwią pracując, uzyskiwaliśmy dochody pozwalające ledwo wiązać koniec z końcem. Nie narzekaliśmy jednak i było nam dobrze.

Niekorzystnie sytuacja zmieniła się dla mnie w chwili, gdy Profesor Jaźwiński, tak szybko jak podjął w swoim czasie decyzję o zjechaniu do Częstochowy, równie szybko Częstochowę opuścił. Przeniósł się do Warszawy, tam objął kierownictwo Katedry Inżynierii Materiałowej na Politechnice Warszawskiej. Dostał jakieś spore środki i zaangażował się bez reszty w wyposażanie swojej katedry w najbardziej nowoczesne narzędzia do badań materiałowych, jakimi w tym czasie dysponowała nauka. Obok zaplecza jakie budował równoległe na Politechnice Śląskiej Prof. Adam Gierek, powstała w Warszawie podobnie nowoczesna placówka wyposażona w mikroskopy skaningowe, mikrosondę i podobnego typu urządzenia.

Zaraz po odejściu Jaźwińskiego okazało się, że nowe kierownictwo Katedry Metalurgii ma bardzo kiepską opinię o predyspozycjach moich oraz Wandy Jagiełło do pracy naukowej. Niedwuznacznie podsunęto rektorowi myśl, aby się nas jakoś z tej katedry pozbyć. Tak się ostatecznie stało. Wandę przygarnęła Katedra Chemii Fizycznej, mnie Katedra

Termodynamiki. Tym samym los zrzucił, że dołączyłem do swoich przyjaciół Romka Wolańskiego i Władka Gajewskiego.

Katedra Termodynamiki była miejscem o wielu walorach. Mieściła się w nowym budynku Wydziału Budowy Maszyn, położonym wśród pól, na których przez okna naszych pokoi widać było pasące się krowy i polną drogę prowadzącą do sklepu spożywczego. Nasz zespół składał się z nas trzech, wymienionych wyżej starszych asystentów i pracownika technicznego, Mirosława Gałązkowskiego, którego od czasu do czasu zaprzęgaliśmy do jakiejś roboty, na ogół polegającej na budowaniu stanowisk badawczych do eksperymentów, które rodziły się w naszych głowach.

Kierownik Katedry, dojeżdżający z Krakowa doc. Stanisław Dawidowicz, okazał się niezwykle sympatycznym szefem. Potraktował mnie jak kogoś, kto tu pracował od lat i od razu obdarzył pełnymi prawami do prowadzenia zajęć ze studentami i zajmowania się własnym rozwojem. Dawidowicz odwiedzał nas na ogół raz w tygodniu, odbywaliśmy wspólną pogawędkę, w której sprawy służbowe i nie służbowe zgrabnie się przeplatały.

Władek Gajewski, właściwie jako jedyny z nas miał w miarę skryształizowany cel naukowy. Było to badanie zjawisk zachodzących w tzw. złożu fluidalnym. Romek Wolański przemysliwał o doktoracie a ja, mając przewód doktorski otwarty, w warunkach Katedry Termodynamiki o jakimś własnym stanowisku badawczym nie mogłem na razie myśleć. Tym niemniej intrygowało mnie planowanie i realizacja jakiś eksperymentów, a bratnią duszę znalazłem właśnie w Romku.

Postanowiliśmy obaj zająć się kinetyką utleniania metali (co raczej było bliższe mojemu profilowi zawodowemu) i zaprojektowaliśmy instalację do takich eksperymentów. Na pierwszy ogień poszła miedź, którą chcieliśmy utleniać czystym tlenem. Aby tlen osuszać przepuszczaliśmy go przez płuczki z kwasem siarkowym. Przeprowadziliśmy kilka eksperymentów i mieliśmy już trochę wyników, gdy na skutek jakiejś nieszczelności nastąpiła eksplozja instalacji. Kwas z fragmentami szkła rozprysnął się po całym pomieszczeniu. Jakiś anioł stróż miał nas pod swoją opieką. Uratowaliśmy oczy i skórę, natomiast nasze ubrania momentalnie zmieniły się w podziurkowane szmaty. Mimo niepowodzenia opublikowaliśmy na podstawie tych badań artykuł w dość prestiżowym piśmie jakim był Przegląd Techniczny. Z Romkiem opublikowałem jeszcze kilka opracowań będących raczej kompilacjami informacji o własnościach stali szlachetnych, opartymi na źródłach zagranicznych. Pomimo ich miernej jakości naukowej liczyły się jako publikacje a w katedrze coś się stale działo.

Pewnego dnia moja żona oświadczyła, że nasza rodzina się powiększy. Ta wiadomość mnie ucieszyła. Większość moich przyjaciół miała dzieci i pomyślałem, że czas do nich dołączyć. Jednak już po pierwszych tygodniach ciąży Sylwii było wiadomo, że nie jest to ciąża normalna.

Badania (niestety rentgenowskie, ale tylko takie wtedy robiono) wykazały, że należy się spodziewać bliźniaków. Początkowo nie wywołało to naszego niepokoju. Żona czuła się dobrze i była pod opieką dobrej lekarki, w znalezieniu której pomogła nam żona Romka Wolańskiego, Hania.

Niepokój mój budziły w tym czasie inne sprawy: jak zamieszkać z małym dzieckiem w akademiku i gdzie tu dorobić trochę grosza.

Zupełnie nieoczekiwanie dobry los rozwiązał oba te problemy. Kiedy wieść, że zostanę ojcem jakoś dotarła do władz Uczelni akurat w wspomnianym wcześniej Domu Profesora zwalniało się jedno z mieszkań. Przyznano to mieszkanie mnie. Było ono malutkie, składało się z pokoju z wnęką i kuchni, miało jednak wszystkie wygody i na razie spełniało wszystkie nasze najśmielsze oczekiwania. Ponadto większość naszych nowych sąsiadów byli to ludzie z którymi albo łączyła nas przyjaźń albo dobra znajomość.

Problem dodatkowych zarobków rozwiązała życzliwa podpowiedź któregoś ze znajomych, że w Liceum Medycznym, mieszczącym się na przedłużeniu budynku głównego

politechniki przy ul. Deglera, potrzebują nauczyciela fizyki. Pobiegłem tam natychmiast i zostałem z miejsca zaangażowany. Ta fizyka to nie była żadna normalna fizyka a nauka o budowie i działaniu różnych urządzeń medycznych, z którymi stykały się w codziennej pracy absolwentki tego liceum. Opis niektórych z tych urządzeń jak termometry, aparaty do mierzenia ciśnienia itp. był prosty. Z opisami innych, jak aparat rentgenowski kłopotów było więcej. W sumie jednak te kilkaset złotych miesięcznie, jakie zarabiałem miało dla mnie istotne znaczenie.

*

Sylwia urodziła dwie dziewczynki, które nazwaliśmy Agatka i Kasia. Jednak nie obyło się bez komplikacji. Sylwii po porodzie przetoczono niewłaściwą krew, co spowodowało u niej silny wstrząs, z którego jakoś ją wyprowadzono choć widziałem w oczach otaczających ją lekarzy, że byli nieźle wystraszeni. Po kilku godzinach okazało się, że jedna z dziewczynek, Kasia, ma jakąś wadę wrodzoną.

Następne dwa dni to była walka o życie Kasi, podejmowana na miarę poziomu medycyny tamtych czasów. Chodziłem tam codziennie oglądać owiniętego zakrwawionymi bandażami małego człowieczka, z mnóstwem podłączonych rurek i zwisających do ziemi sączków. Kasia była wtedy niemym krzykiem bezbronności, na co sobie nie mogła zasłużyć żadnym popełnionym grzechem.

I w końcu Kasia tę walkę o życie przegrała.

Na jej świadectwie zgonu widnieje data: 1 listopada 1965 roku. To dzień Wszystkich Świętych. Na pewno jest wśród nich Kasia.

Pogrzeb naszej córki miał scenerię wziętą z najbardziej mrocznych sztuk Szekspira. W zakładzie pogrzebowym kupiłem małą, białą trumienkę. Z ojcem Sylwii, który przyjechał do Częstochowy włożyliśmy do niej mały, biały kocyk. Taksówką pojechaliśmy do szpitala, gdzie w szpitalnej kostnicy, oświetlonej jedną żarówką odszukaliśmy Kasię, wyglądającą jak biała, popsuta lalka. Przeżegnałem się i powiedziałem jakieś zdanie, którego już nie pamiętam, ale które miało oznaczać, że ja, jej ojciec udzielam jej chrztu.

Ułożyłem swoją martwą córeczkę w przywiezionej trumience i pojechaliśmy (znów taksówką) na cmentarz. Było już ciemno, jedyne słabe światło docierało od lamp ulicznych, stojących za cmentarnym murem. Z umówionym wcześniej grabarzem, czekającym na nas, poszliśmy w naszym małym orszaku do tej części cmentarza, która przeznaczona jest dla dzieci nieochrzczonych. Trumienkę z Kasią cały czas niosłem pod pachą. Grabarz wskazał nam płytki dół, ułożyłem w nim trumienkę a grabarz szybko go zakopał i uklepał niewielką mogiłkę. Bardzo długo przeżywaliśmy tę śmierć. Na szczęście druga córka, Agatka była zdrowa i nie sprawiała nam żadnych kłopotów. Jej łóżeczko stało we wnęce pokoju w Domu Profesora, powoli wracaliśmy do codziennych problemów.



Młodzi rodzice. Od lewej: Romek Wolański, Sylwia przy wózku jego syna, Wladek Jonkisz i Wladek Gajewski z wózkiem.



Sylwia na spacerze z Agatką.

Jako rodzice małego dziecka stopniowo dostrzegaliśmy coraz więcej mankamentów naszego życia w Częstochowie. Składało się na to kilka czynników. Moją pracę na uczelni wprawdzie trudno było nazwać wyczerpującą, tym niemniej szanse na normalne robienie doktoratu dotyczącego zjawisk na pograniczu ciekłego metalu i ceramiki w sympatycznej skąd inąd Katedrze Termodynamiki były raczej nikłe. Politechnikę stopniowo obejmowała we władanie nowa ekipa ludzi. Rektorem został doc. Jan Grajcar, były rektor, prof. Sakwa wyemigrował na Politechnikę Śląską.

Jeszcze bardziej istotną sprawą były zarobki. Pensja starszego asystenta bez tzw. „boków” to były zupełnie śmieszne pieniądze. Służba zdrowia płaciła jeszcze gorzej, co oznaczało, że pensja Sylwii nie poprawiała istotnie naszego statusu majątkowego.

Stopniowo kiełkowała myśl, aby pożegnać się z Częstochową próbując czegoś nowego. Radom jako cel ewentualnej emigracji miał pewien walor, który polegał na tym, że można było liczyć na czasowe zamieszkanie w sporym lokalu jakim dysponowali rodzice Dudy no i oczywiście pomoc moich i Sylwii rodziców.

Wprawdzie byłem z wykształcenia metalurgiem ale nie pracując w tym zawodzie mogłem rozglądać się w Radomiu za czymś trochę innym, gdzie przynajmniej jakaś część mojej wiedzy mogłaby być przydatna.

Ostatecznie wiosną 1966 roku podjęliśmy decyzję, że wyjedziemy z Częstochowy. Powoli szykowaliśmy się do przeprowadzki do Radomia. Miałem stąd kilka ofert pracy, ale ostatecznie postanowiłem, że najlepsze możliwości dla wykonywania badań niezbędnych do kontynuowania pracy doktorskiej da mi zatrudnienie w charakterze kierownika laboratorium w Radomskich Zakładach Materiałów Ogniotrwałych. Otrzymałem wynagrodzenie prawie trzykrotnie wyższe niż na Politechnice i obietnicę mieszkania w budującym się bloku zakładowym.

W maju byłem już mieszkańcem Radomia.

*

Moje kontakty z Politechniką Częstochowska i przyjaciółmi którzy w Częstochowie pozostali były wciąż dość żywe. Tam zdawałem egzaminy wymagane przed obroną pracy doktorskiej, tam też w lutym 1973 obroniłem pracę doktorską. Byłem na inauguracji roku akademickiego jako przedstawiciel Ministerstwa Górnictwa i Energetyki. Zostałem kiedyś oficjalnie zaproszony przez Rektora Politechniki, prof. Janusza Elsnera, który po sympatycznej rozmowie ofiarował mi duży medal „za zasługi dla Politechniki”. Uczestniczyłem w kilku pierwszych zjazdach absolwentów, podczas których spotykałem jeszcze osoby z mojego rocznika.

Poprzez związek z Kołem Absolwentów Politechniki i różne doniesienia medialne o rozwoju częstochowskiej Uczelni budowałem w sobie obraz Politechniki dnia dzisiejszego. Wiem, że

jest ona zupełnie inna od tej, jaką znałem z autopsji. Ta zmiana czasami wywołuje nostalgię ale i dostarcza sporej dawki dumy i zadowolenia.

Prywatnie cały czas starałem się utrzymywać kontakty z przyjaciółmi z Częstochowy; Basią i Władkiem Jonkiszami, Wiesią i Józefem Cisło, Ewą i Zbyszkim Mrowińskimi, Jankiem Millerem. Część z nich niestety odeszła ale z żyjącymi ja i moja żona utrzymujemy stały kontakt. W pracy zawodowej spotykałem niejednokrotnie absolwentów naszej Uczelni różnych jej kierunków i z różnych roczników. Zawsze kiedy tak się działo już po paru minutach rozmowy czuliśmy że jest coś nieuchwytnego, co nas łączy.

Kiedy dzisiaj, po upływie ponad połowy wieku oglądam się za siebie i wracam myślami do moich częstochowskich lat, zawsze jest we mnie przekonanie, że były to miejsce i czas ważne, być może najważniejsze w moim życiu.

Ryszard Buchowiecki